


Co  mi się śniło  
na prapremierze  
Brylla?

Zamiast recenzji

Teatr im. Słowackiego w Krakowie: **CO SIĘ KOMU SNI** Ernesta Brylla. Reżyseria: Krystyna Skuszanka, scenografia: Kazimierz Wiśniak, muzyka: Adam Walański, plastyka ruchu scenicznego: Jan Uryga, opracowanie wokalne: Franciszek Barfuss. Prapremiera 28 października 1972 (fot. Wojciech Plewiński)

Akt pierwszy minął prawie bez snów. Śniły mi się jakieś mądre zdania z artykułu Wandy Roszkowskiej, zamieszczonego w programie. Pochylały się nade mną postacie bez twarzy, z czołami gładkimi jak cytat. Ktoś męczył mnie szkolnymi pytaniami na temat rybałtowskiej komedii *Z chłopca król*, Calderona, Szekspira i Wyspiańskiego. Przez woń rzepy z mojego snu wionął leciutki zapach dworskich perfum. Przez sen mgliście widziałam wznoszącą się na scenie hierarchiczną trójstopniową drabinę: na szczycie królewska purpura, środkiem siermiężność, dołem — więzienie. W teatrze pachniało kurzem, szeleściły strojne suknie na scenie i na widowni. Drzemałam dalej bez snów. Był to sen powszechny, głęboki — wsząd dochodziły równe oddechy premierowego tłumu wybrańców.

W akcie II nieustannie budziły mnie śmieszki aprobaty raz po raz przelatujące nerwową, wymuskaną atmosferę sali. Otwarłam oczy na dobre. Na scenie *z chłopca król* zaprowadzał w swoim własnym śnie swoje porządki. Zgrabnie wpisany w niehierarchiczny już układ sceny chędożył na oczach dworu, młaskał przy akompaniamencie młaskanie swoich sług wiernopoddańczego, kordialnie obejmował witanych dostojników obcych. Na koniec — wydawszy bezosobowym milczeniem majestatu wyrok na generała orientacji minionej — głowę jego z papier maché dworakom rzucił do zabawy. Teraz dopiero zaczęła się gra prawdziwa między sceną a widownią. Chwyliło! Smakowite młaskanie przycichło. W lot złapali szansę papierowego tragizmu. Wrzaski scenicznych dworaków, fałszywe uniesienie obelgmiotanych nad martwym kłębkim papieru zapadały w tragiczno-błazeńskie skupienie widowni. To było zwierciadło ich życia, to był ich teatr og-

romny. Nie musieli myśleć, wystarczyło potakiwać — ktoś za nich ułożył te zręczne obrazki i rebusy — pewne jak codzienna gazeta. Ktoś był dla nich wieszczem, oni przebrali się za jego rozumną widownię. Ktoś dla nich i za nich napisał sztukę polityczną. Łagodną i pogodną, z kupletami, z tańcem, a przecież patrzcie państwo, jaką odważną! — z całowaniem w tyłek jako podstawowym obrzędkiem społecznej drabiny. Przyjęli ją jak swojaka. „W atmosferze szczebiotu oraz wzajemnego zrozumienia, w atmosferze ptaszęco świeżej” — skąd mi się między kupletami przypomniał ten niesto-

sowny cytat z poezji Barańczaka? Na scenie — zamiast pomalowanego na czerwono kłębu papieru ukształtowanego w ludzką głowę widzę żywe ciało aktora spoczywające w śmiertelnym bezruchu, ciało, w którego sceniczną martwość usiłują wlać oddech otaczający je inni — współofiary i współwinowajcy. Jak sen wraca przypomnienie spektaklu *Jednym tchem* studenckiego Teatru 8 Dnia. Jak przez sen w śnie słucham znowu królewskich oskarżeń dworzan o zbrodnię popełnioną w przyzwalającym milczeniu majestatu, śledzę królewski palec sędziego wskazujący winnych — raz na lewo, raz na pra-

wo — w rytmie polonezowym, w rytmie nowych pas i tanecznych układów. Ale dobry i prawdziwy król nie śpi — czuwa przed rampą: hierarchiczna machina zrzuca ludowego okrutnika z powrotem w jego los — na niziny. „Nie bójcie się prawdy, nie bójcie się sumienia” — hasło prawdziwego władcy widowńia podejmuje z entuzjazmem. Jest takie proste, tak wdzięcznym ścięciem zdobi zrozumiałe, swojskie obrazy — „co się komu w duszy gra, co kto w swoich widzi snach”. Cóż, każda epoka ma swe własne sny. Jest rok 1972 i śnić trzeba bezpiecznie.

ELŻBIETA MORAWIEC